

Dzwony



MICHALINA DOMAŃSKA

Dzwony

Chata Serafiny stała nawprost kościoła. Z okien widać było wysokie, zmurszałe ogrodzenie cmentarne i stojącą w rogu bardzo starą, pochyloną, ciekawej struktury dzwonnice kościelną. Starszą była od kościoła, z modrzewiu postawiona, wycięta w arkady spiczaste, przez które widniały dzwony. Dzwony milczały w nieruchomość kamienną zakłętą — od lat już piętnastu. I ta sygnaturka, jak ptaszek świergotliwa, srebrnym głosem śpiewająca z pośpiechem; i ten dzwon wielki, dawniej w niedzielne ranki natarczywie wołający po przez łąny szerokie i lasy rozległe, i ten największy, którego głos gromowy napelniał serca radosnem wzruszeniem, gdy huczał zwiastując, że Pan się narodził w stajence, lub że wstał z martwych po dniach męki.

Milczały wszystkie zdjęte snem śmiertelnym. Nigdy już porywającym chórem nie śpiewały nad barwną, rozmigotaną, wijącą się wśród zielonych zasłuchanych pól — procesją; nie koili serc słodkiem pozdrowieniem Marji w zapadające ciche zmierzchy; nie żegnały nikogo na sen wieczny; kamiennie milczały, jak gdyby im serce wyrwano, gdy cicho tajemnie, pośpiesznie, w cieniach nocnych, oddawano poświęconej ziemi — matce zmożone, zmęczone ciała tych szczęśliwszych, co odchodzili na zawsze. Nie wieściły też ślubowin niczych: przysięgi wiążące dwa życia składano po cichu, w cieniu komory, przed starszym, kryjąc się z tym obrzędem jak ze zbrodnią. Za przykładem dzwonów i wieś skamieniała w milczeniu. Od lat piętnastu nie zadźwięczał tu nigdy ochoczy bębenek, nie zanosły się skrzypki piosenką miłą, jak świergotanie ptasie. Nawet łąny i pola milczały nie ożywione śpiewem dziewczęcym. A ludzkie twarze wyglądały jak wykute z tego szarego polnego kamienia, zakłętą w moc, twardość i milczenie.

Serafina dniami całymi wysiadywała przy okienku z prząsnicą. Była pierwszą prządką we wsi i zabierała bogatszym gospodyniom len do uprzedzenia. Gdy zmierzch zapadał, nie zapalała światła, przędła „na pamięć” szybko i wprawnie i wciąż spoglądała w okno. Zdala już matczyne oczy poznawały wśród powracających z młocarni dworskiej chłopaków — Staśka jedynaka. On jeden miał tę wysmukłość młodego świerczka i te ruchy śmiałe, sprawne, gibkie, tak różne od niezdatnych niedźwiedziowatych poruszeń towarzyszy. Gdy wchodził, szara smutna izba rozjaśniała się blaskiem jego młodości. Na nim jednym tłocząca atmosfera nie wyrzeźbiła dotąd znamiennych rysów. Głowę nosił do góry, a siwe oczy pod brwiami czarnymi patrzyły śmiało i bystro jak u młodego jastrzębia, chociaż śmiać się i radośnie błysnąć nie umiały. Była w nim rodzinna zawzięta moc, taka co przetrwać umie — lecz był zarazem i ogień jakiś tajony, który płomieniem buchnąć potrafi. Matce patrzącej na niego, chwilami serce zamierało w piersiach: takusieńki był jak i ojciec jego — „prowodyr...” Chroń go Boże! chroń jego młodą głowę!... Lęk straszliwy lodowatemi palcami ścisnął jej serce... Ach, pamiętała... zgłoskami krwawymi jak rana, zapisane miała w pamięci każdą chwilę tych przeraźliwych dni...

Gdy tak przy okienku, wychodzącym na dziedziniec kościelny i starą dzwonnice, schodziły jej dnie całe — przestrzeń ta zaludniała się dla niej marami. Przed jej oczami odżywało wszystko...

Widziała jak przez kościelny dziedziniec w jasny poranek Zielonych Świąt¹, sunął strojny jej orszak weselny. Maj śmiał się do świata tak czarownie i radośnie, jak nigdy już potem, dzwony rozkołysały, rozedrgały przestwór tryumfalną swą pieśnią, odurzająca

¹Zielone Świątki — dzień Zielonych Świątek jest uprzywilejowanym dniem ślubów na Białejrusi. [przypis autorski]

woń tataraku i brzoźek, któremi przystrojono świątecznie kościół i dziedziniec, biła do głowy rozkosznym czadem.

Ona szła na czele orszaku w pasiastych, przez siebie wytkanych, samodziałach, w koszuli cienkiej, ślicznie na ramionach zahaftowanej, pracowitem arcydziele długich dni zimowych, w gorseciku pąsowym jak mak. Na szyi miała niezliczone sznury świecących i wszystkimi barwami tęczy grających paciorek, zakończonych pękami wstęg, na głowie wianek z czeremchy. Popłakiwała trochę, bo zwyczaj prastary każe płakać pannie młodej, lecz serce w niej tajało z radości. Bo przy niej szedł ten Józiek, za którym oczy gubiła, którego ukochała na śmierć i życie, do zapamiętania — choć ubogi był, na kilku dziesięcinach w kurnej starej chacie siedział i hardy, a nieustępliwy miał charakter. Lecz we wsi całej żaden chłopiec równać się z nim nie mógł: robota paliła mu się w rękę, krzepki był jak dąb młody, zwinny i szybki jak jelen, a jak orzeł śmiały i dumny. Królewiczem mu być, a nie chłopem!... myślała sobie o nim Serafina. I urzekł on ją, urzekł temi oczami siwemi, co patrzyły z pod rzęs czarnych i tym pocałunkiem jak śmierć mocnym — palącym jak żar, a słodszy i miłszy niż cały świat.. Ona mu niosła w darze swą ośmnastoletnią urodę leśnej jagody, palące czarne oczy, za które ją „cyganką” przezywano, sławę pierwszej we wsi prządki i tkaczki, skrzynię płótna i bezgranicznie rozmiłowane serce. I dobrze im było ze sobą — jak dobrze!... Chwilami zdaje się, że to sen — jakiś słodki, dobry sen... Nie znała z nim biedy, nie znała co to złe słowo... Pracowali oboje chętnie, mocno, z całych sił młodych i krzepkich; kochali się również mocno i szczerze, hodowali synka jak orzech jędrnego, a hałaśliwego jak dzwonek. I tak szło życie prosto a składnie — aż przyszły dni straszne, od gorączkowej zmory bardziej przeraźliwe... Pamiętała dźwięk dzwonów, gdy były po raz ostatni. Zwoływały na nieszpór, gdyż było to święto Matki Boskiej Siewnej, dzień wrześnieowy, łagodny, omglony, perłowo szary, przedziwnie cichy. Z przyczyny zdawałoby się niepojętej — na te zwykle nieszpory ciągnęły tłumy. Szli miedzami polnemi ze wsi sąsiednich, traktem z miasteczka. Zapełnili kościół szczelnie i stali głowa przy głowie, szarzy i cisi jak zwykle. Lecz tę ciszę przebiegał jakiś prąd niepokoju: oczekiwano z wytężeniem czegoś, co się miało stać, a o czym tylko chodziły głuche, niejasne wieści.

Nieszpory odprawiały się zwykłym trybem. Organ huczał, organista śpiewał; ale głos miał jakiś drżący, urywał mu się chwilami; ksiądz od ołtarza odzywał się cicho, jakby mu sił brakło. A serca tłumu były, rozkołysane jak dzwony, w przeczuciu nowego, strasznego ciosu...

Skończyły się nieszpory. Nastąpiła chwila śmiertelnej ciszy. Światła paliły się w ołtarzu jak złote ćwieki wbite w błękitnawy mrok, który zasnuwał kościół. Nikt nie myślał o ich gaszeniu. Wreszcie ksiądz ciężkim krokiem, wolno, jakby niechętnie, wchodził począł na ambonę... Zamarły bijące serca, oczy i dusze tłumu zawisły na ustach księdza...

— Dzieciatki, oto dziś po raz ostatni modlimy się w tym kościele...

Padły słowa nieubłagane jak los, miażdżące jak przeznaczenie... Reszta zginęła w burzy naglej płaczu, od której zadrżały ściany świątyni, jak nie drżały nigdy od żadnych głosów ludzkich. Tłum cały szlochał, a była w tem tak przeraźliwa groza, że słuchać tego stawało się niepodobieństwem. Ksiądz zszedł z ambony i znikł. Lud nie opuszczał kościoła. Płacz zbiorowy jak grom wstrząsał starymi ścianami z modrzewiu. Jakiś głos pojedynczy wzniósł się ponad inne i zaintonował pieśń, przerywaną łkaniem: „Pod Twoją obronę...”

Wnet tłum podchwycił: „uciekamy się Święta Boża Rodzicielko...”

Popłynęła pieśń jak niewymowna skarga...

Wszedł zakrystjan, stary, ociężały i począł gasić świece długim swym kijem. Nikły złote gwiazdki jedna po drugiej, cień zaległ kościół i stopił kontury przedmiotów. Zmierzył zaciągnął szarą płachtą okna — wieczór szedł.

Zakrystjan zamknął zakrystję, zamknął drzwi boczne. Zgrzytały stare klucze w zardzewiałych zamkach... szczękały złowrogo... jak zapadające wieko trumny... Szedł teraz przez kościół głośno, dzwoniąc pękiem żelaztwa, na znak, że trzeba kościół opróżnić. Myśl jak iskra piebiegła tłum: skąd powstała? kto podał pierwszy? — Któż zgadnąć zdoła? Wszyscy się wysypywać zaczęli za starym Handyrem. Na dziedzińcu kościelnym otoczył go zwarty tłum. W jednej chwili klucze mu z rąk wydarto...

Zapadła ciemność zupełna, przyszedł słodki, cichy wieczór wrześnieowy, pachnący dymem, lnem i więdnącą nacią kartoflaną. Na niebie wyroiły się gwiazdy nieco mgliste, migotliwe; pola senne, wyczerpane, objęła cisza bezmierna. Około kościółka z modrzewiu stał zwartym pierścieniem lud milczący, także nieruchomy, jakby wrosły w tę ziemię szarą, nieprzeliczony jak drzewa w borze, przepojony jakąś spokojną mocą trwania. Czasem jak szum liści zrywał się poszept pacierzy... Tak minęła noc. Zrana przed tym murem z serc wiernych aż do śmierci — zjawiała się komisja.

Wrzeczono wypadło z rąk i potoczyło się po ziemi. Mgła z łez krwawych zasłoniła obraz we wspomnieniach Serafiny...

... Nowa zjawia... Długa, w nieskończoność gdzieś idąca, biała twarda, równa wstęga szosy... Niewiadomy jej początek, nieodgadniony cel... Przecina pola ścierniskiem pokryte i nieubłagane prowadzi w dal niewiadomą... Po tej szosie prowadzi Józika... Ona idzie za nim o kilkanaście kroków jak urzeczona... Przy spódnicy jej uczepony drepcze Stasiek...

Józik idzie wyprostowany i wyniosły, jak ten świerk zielony. Głowę ma podniesioną i patrzy gdzieś przed siebie... Nie obejrzy się, nie zwróci głowy. Raz, dwa... Twarde kroki dudnią po szosie, brzęknie czasem bagnet... Pomiędzy czapką maciejówką, a kołnierzem brunatnej świtki — lśnią jasne, przystrzyżone krótko włosy... Serafina oczu od nich oderwać nie może. Umiłowane te włosy jasne, umiłowana głowa, jedyna na świecie całym...

Wieczór się zbliża i daleka perspektywa szosy zasnuwa się błękitną mgłą. Na przydrożne drzewa spada nagle z szumem i łopotem stado olbrzymie czarnych kawek; krakanie ich wypełnia milczący przestwór. I naraz ostrą nutą wzbija się płacz Staśka: „Oj! mamol! nogi bolą...”

Ciągnie się przy jej spódnicy, ledwo wlokąc zbolale, bosc nożyny, Serafina bierze go na ręce bez słowa i idzie dalej wpatrzona wciąż w męża, którego uprowadzają. Ale tęgi chłopak cięży jak kamień, obezwładnia ją. Przestrzeń pomiędzy nią a grupą mężczyzn coraz większa, już nie odróżnia szczegółów, widzi tylko zarysy: wysoką postać Józika, jego chód śmiały i pewny, jaśniejszą plamę jego włosów. Wreszcie i to się zaciera, Józik maleje, niknie, pochłania go dal nieubłagane. Nie widać go już zupełnie... Wówczas i ona pada na ziemię bez łzy, bez jęku, ogłuszona niby uderzeniem, zabita bólem...

... Nigdy już więcej nie widziała Józika...

Wszystko to zmartwychwstaje w myślach Serafiny, gdy w szare dnie jesienne i zimowe przedzie przy okienku, spoglądając na dzwonnice z milczącymi dzwonami. Mary rozprasza wtargnięcie Staśka butne, hałaśliwe. Wtedy wszystkie myśli, zdolność odczuwania matki on zabiera na wyłączną własność... Tak jak gdyby do piwnicy promień słońca wpuszczono...

*

Nad martwą, zastygłą, skamieniałą wsią powiały jakieś prądy życia. Coś się dzieje... coś drgnęło w głębinach tej duszy zbiorowej, która się zamknęła w sobie i zataiła jak ta rodząca ziemia w dnie zimowe. Ludzie się zbierają, szepczą... Skrzypnęły wrota nie otwierane przez lat tyle, chodzą po dziedzińcu kościelnym... Serafina patrzy ze swego okienka i niepojęty ból przeczucia w kleszcze męki ujmuje jej serce. Stasiek nie wraca, choć dawno już roboty wszystkie skończone i zmierzch z błękitnego staje się ciemno popielaty i nieprzenikliwy... Rozpaliła ogień na kominie, przystawiła garnki z wieczerzą. Krząta się po izbie, a w duszę ma wbity cierń krwawiący zabijającego niepokoju... Znow się coś gotuje, a każda rzecz, która się stać może, straszliwszą tylko będzie od tej, która była... Oto wreszcie kroki w sieni, szybkie, sprężyste, tak znane, drzwi się otwierają mocnym pchnięciem i wchodzi Stasiek. Rzuca czapkę, świtkę i staje przed nią w czerwonej łunie ognia. Wpijają się w niego chciwe oczy, nigdy jego widoku nie syte...

— Matko, dziś w nocy kościół kryć będziemy...

— Dziś w nocy?...

— A tak! Teraz noce jasne księżycowe... Do rana skończymy, bo cała wieś do roboty stanie... Baby i dzieci będą słomę podawać. Dach dziurawy, wiecie, przecieka. Przez jesień

i zimę wszystkoby pognoilo w środku. Nad samym wielkim ołtarzem dziura. Grzech zostawić tak!...

— Grzech! Więc idziesz, synku, na całą noc?

— A idę, matko!...

— Oj... Staśku!...

— Co, matko?...

— Żeby tylko nowej biedy...

— Będzie, co Bóg da, a tak nie zostawim, matko! Nie można.

— Nie można!

Z apetytem młodego wilczka spożył wieczerzę i ochoczo wybierał się na nocną robotę. Wziął potrzebne narzędzie i wyszedł. Za nim wysunęła się matka.

Noc już była zupełna, zimna, rosista, księżycowa. Ogołoczone pola stały w martwej, trupiej jasności i ciszy niezmaconej, zaświatowej. Wieś pocięta czarnymi cieniami chat i płotów, żyła, mrowiła się. Wszyscy wylegli na ulicę, opuszczone chaty świeciły martwością szyb, za którymi nie płonęło światło. Szły fantastyczne postacie, schylone pod ciężarem kulowej słomy. Inni ciągnęli za sobą drabiny. A wszystko odbywało się w ciszy. Nie zaturkotał wóz, nie padło głośniejsze słowo. Zdawało się, że to pochód cieni. Tylko zardzewiałe wrota kościelnego dziedzińca zaskrzypiały przeraźliwie, przeciągle...

Po niebie jak stal wypolerowanem, sunął wolno księżyc, świecący chłodno i równo. Jedna za drugą szły godziny długiej nocy jesiennej. Praca wrzała, bez chwili przystanku w zadziwiającej ciszy. Kobiety z ziemi podawały słomę wyrostkom stojącym na drabinach — a ci z rąk do rąk aż do tych mężczyzn, którzy pracowali na dachu. Dzieci i starzy zbierali w równe pęki roztrzęsioną słomę, która w bładem świetle świeciła metalicznie.

W chacie Serafiny buchał ogień na kominie. Bogatsi i zasobni znosili jej herbatę, a ona ją gotowała w garnkach i roznosiła gorącą śród pracujących, bo w powietrzu czuć było ostry, rzeźwy dech przymrozku.

Pogarbiona stara kościelna strzecha świeciła już latami jasnymi, układanymi na zagrożonych miejscach. Wszyscy byli tak zajęci robotą, że nie dostrzegł nikt, jak skulona postać prześlizgiwała się chyłkiem w czarnym cieniu chat i stodół aż na przeciwny koniec wsi, a potem zaroślami na drogę do miasteczka. Gdy ją zasłoniły drzewa, wyprostowała się i popędziła szybko. Bo za glorią bohaterskich czynów pełza zdrada jak posepny cień...

Księżyc świecił coraz niżej, żółknął i ścigał z nagich pól srebrne sieci blasków swoich. Lecz jednocześnie noc nasiąkała innym światłem, zrazu niepewnym, mętnym, bielejącym zwolna. Wionęło chłodem, drgnęły na miedzach senne grusze, strząsając obfitą rosę. Pod strzechami zaczęły wróble, a świt ostrem światłem pobielił twarde, szare twarze ludzi pracujących na dachu kościoła. Nikt nie opuścił posterunku, nikt nie zasnął, nikt nie odpoczął. Czasem tylko która z matek odprowadzała do chaty ślaniające się ze znużenia dziecko — i znów wracała pod kościół. Rozdarły się białawe opary na wschodniej nieba stronie i wyrzało słońce krwawe jakieś, bezpromienne, złowrogie. A wówczas od strony szosy doleciał odgłos miarowy, twardy, równy... Raz dwa... raz dwa... Wschodzące słońce wykrzesalo iskry z jakichś metali...

Jak jęk drzew w borze, targniętych nagłą przeraźliwą wichurą, przeleciał szept, od którego krew lodowacieje w żyłach i włosy stają na głowie: Idą... Nastala chwila ciszy takiej w której życie jest zawieszona i śmierć zdaje się kłaść wszechwładną swą rękę i dławić... W tej ciszy buchnął nagły obłąkany szloch kobiecy. Nim znalazł wtór, z góry spłynął dźwięczący jak spiż — głos młodzieńczy.

— Nic to! Nim tu dojdą, robota będzie skończona! A potem... co Bóg da. Żywo, bracia!

— To Stasiek wołał, siedzący na samym szczycie, jak zuchwałe orlą...

*

Ciemno w niskiej chacie o małych okienkach z szybami matowymi od starości. Tylko płomień wciąż podtrzymywany na kominie rozdziera cienie krwawymi błyskami. Płyną wolne godziny, dnia czy nocy — nie wiadomo zgoła. I nie troszczy się o to nikt. Na tapczanie w głębi izby leży Stasiek nieruchomy, bezwładny — jak zwalony dąb. Jasna jego głowa przerąbana strasznie cięciem, obandażowana jest płótnem zakrwawionem

i workiem z lodem przykryta. Dziwne szkliste oczy uparcie ma w sufit utkwione, jakby ze zdumieniem spoglądały w zaświaty. Po twarzy młodzieńczej, ledwo puszką zarostu okrytej, błakają się cienie albo nagle purpurowe rzuty ognia. Usta czarne i spalone — otwarte w świszczącym oddechu: żar bije od krzepkiego ciała, spalonego zwolna trawiącym ogniem gorączki.

Na zydłu przy tapczanie siedzi matka. Zdawałoby się, że ją także zakłęto w bezwład i nieruchomość. Siedzi skamieniała i posępna, płomienie czarnych oczu wbite ma w syna. Z tych oczu bije niemy krzyk — straszliwy. Gdyby zdołał się wyrwać z piersi zmartwiałej — to przeszyłby niebiosy. Lecz nie przerywa nic ciszy istnie grobowej. Czasem suchy trzask smolnej szczapy na kominie. Serafina wstaje od czasu do czasu ruchem sztywnym i drewnianym, zmienia okład na głowie syna, do ust mu przytyka kubek ziół, które stoją przy ogniu. I siada znowu, by przywrzeć do Staśka tem obłąkanem w grozie swej spojrzeniem, którem zdaje się na uwięzi trzymać — naprężeniem całej swej woli, ulatujące jego życie.

Tak przechodzą godziny, dni, w niemym zmaganiu się z przeraźliwą mocą. Nie zagląda nikt: w każdej chacie niemal stanęło widmo nieszczęścia i każdy swoim pochłonięty. Był felczer, obejrzał ranę Staśkową — i machnął ręką. Tu nie pomoże już nikt... O którejś porze nieliczonych dni, Stasiak zerwał się nagle na postaniu. Nieprzytomnymi oczami powiódł dokoła, rękoma chwycił rozrąbaną głowę i krzyknął nieludzkim straszliwym głosem. Przypadła do niego matka, lecz już walił się w tył z rżeniem...

Gość trzymany na uwięzi grozą tych oczu matki — wkroczył do chaty, zwycięzki...

*

Nad wsią zmartwiałą, zastygłą, zdławioną nowem brzemieniem, do ziemi przypadła, przeleciała jakieś drgnienie. Zrazu dźwięk niewyraźny, który drżał długo w powietrzu... budząc echo — a potem już donośny, przeciągły jęk spiżowy. I nagle rozśpiewały się zamarte dzwony, rozbrzmiały przeraźliwym wołaniem, przenikającym krzykiem rozpacz. Rozkołysały przestwór i napełniły go straszliwą pieśnią skargi. Płynął dźwięk za dźwiękiem — pełen zmartwychwstałej mocy i wieścił światu jakiś ból straszliwy. Uderzał w niebiosy, które śniadym cieniem pokryły się na ten przeraźliwy jęk, a wszystko wokół zdawało się drżeć i stąpać w ockniętej pieśni dzwonów. Płynęła szeroko na pola, na łąki, ogołoczone, na lasy stojące w ciszy trwożnej, na szare chaty wypełnione dławiącym smutkiem bezradnej niedoli. Ożyła wieś na ten głos ukochany, a zabity przez lata całe, wyroliła się, zapełniła plac przed kościołem. Każdy rzucał robotę najpilniejszą, a biegł co sił, kędy głos ten się ozwał. I stali wkrótce głowa przy głowie, zwarci w tłum, mężczyźni, kobiety, starcy, dzieci. U sznurów dzwonów uczepioną była Serafina. Włosy jej przed kilku dniami czarne, jak krucze pióra, błękitno-czarne włosy „cyganki”, teraz siwe zupełnie, spadały splecione wokół głowy, jakby potargane wichrem straszliwym. Czarne oczy płonęły, jak dwa pożerające płomienie. Z siłą, której domyśleć się u niej trudno było, targała za sznur największego z dzwonów, i od jej rąk szedł jakiś galwaniczny prąd, który wstrząsał sercem ze spiżu w sposób niebывały. Oni wszyscy stali zaszuchani w to serce, które za nich biło krzykiem w niebiosy. Pobladły twarze, odsłoniły się głowy. Niewypłakane nigdy, zapiekłe, krwawe lzy podnosiły się i szły, jak fala z dna dusz. Jak zakłęci w sen straszny własnych przeżyć, słuchali zamienieni w posągi.

A dzwon wciąż śpiewał, na świat szeroki głosił o męce zdławionego ukochania.

O bezsilnej rozpacz udaremionych wysiłków.

O rozdarciu serc w żalobie.

O ofiarach niesionych w porywie bohaterskim.

O nieprzerachowanych łzach niedoli.

O krwi przelanej.

O kamiennej mocy wytrwania.

O wierze, co góry przenosi.

O miłości mocniejszej od śmierci.

O nadziei wiecznie żywej.

O cudach sprawionych przez taką wiarę i taką miłość.

Potężnie niosła się pieśń na świat cały. Chwiała się w powodzi bijących tonów stara dzwonnica, wycięta w arkady, dreszcz przebiegał rosnące przy niej drzewa, aż ronili ostatnie liście, które spływały jak lzy.

I z tłumu zmartwiałego wyrwał się jęk, najpierw jeden, potem odpowiedział mu drugi i naraz wybuchnął cały chór. Tłum szlochał. Targnięte serca biły w piersiach, jak dzwony. Potężny wiew zbiorowej niedoli porwał się, jak wichur grozy, od którego włosy na głowie powstają...

...Lecz że daleko płynęły dźwięki dzwonu, usłyszeli je wszędzie. Szli już po Serafinę...

...A ona wciąż dzwoniła w szaleńczym zapamiętaniu...

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/domanska-dzwony>

Tekst opracowany na podstawie: Michalina Domańska, *Dzwony*, nakł. księgarni "Przeglądu katolickiego", Łódź 1914.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0203-2

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).